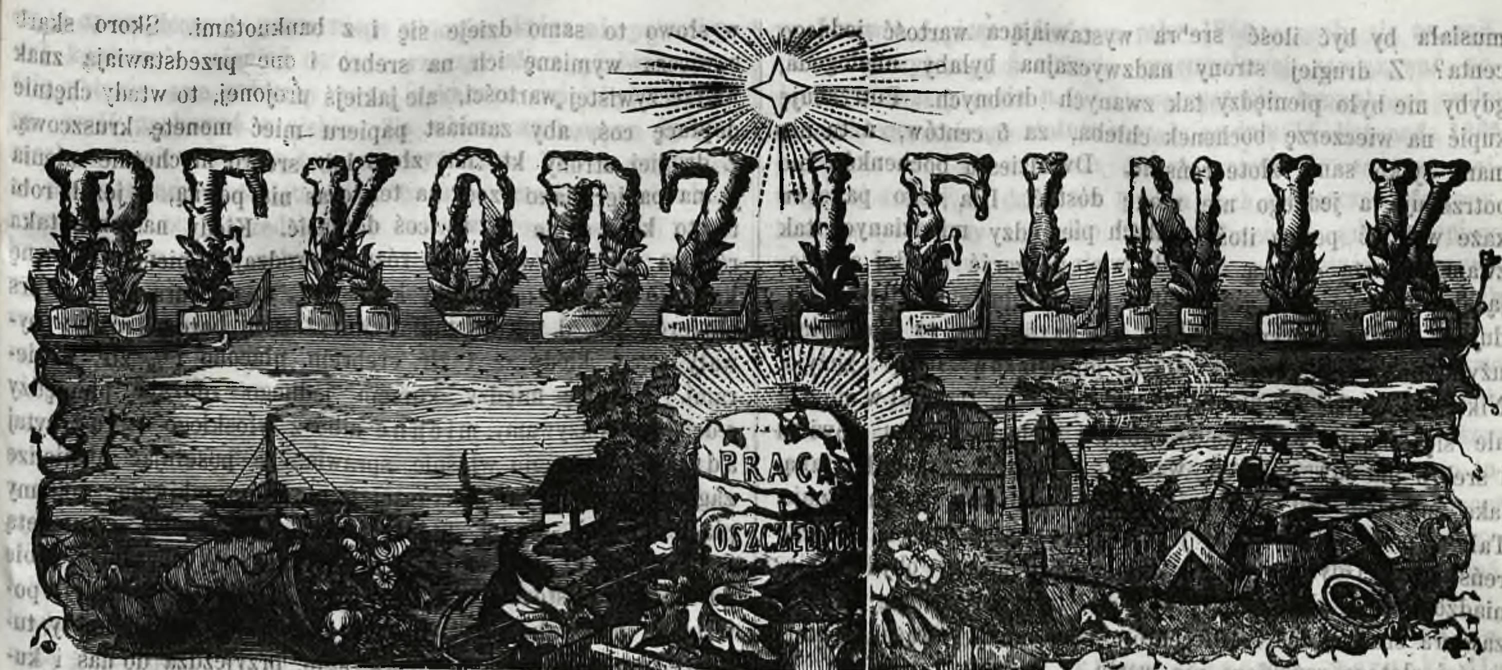
Nr. 9. Lwów, dnia 2. Maja 1869. **Rok I.**



PISMO DWUTYGODNIOWE.

Wychodzi w Niedzielę po 1. i 15. każdego miesiąca.

Prenumerata kwartalna w miejscu wynosi **30** ct.; z przesyłką pocztową **36** ct.; numer pojedynczy kosztuje **5** ct. — **Prenumeratę miejscową i inseraty** za opłatą **4** centów od wiersza (petitem) przyjmuje księgarnia pp. Seyfartha i Czajkowskiego, lub też zarządca „Drukarni Ogólnej", p. L. Zubalewicz. — **Prenumerata zamiejscowa** przyjmuje się pod adresem: „Administracja **Rękodzielnika** we Lwowie pod l. 438¼."

Reklamacye nieopieczętowane wolne są od opłaty.

Pieniądz.

Powiedzieliśmy poprzednio jak wielką byłoby niewygodą, gdyby człowiek był zmuszony mieniać bezpośrednio jedne rzeczy potrzebne za drugie, czyli jakeśmy to tam przykładem wyjaśnili, gdyby szewc nie mógł inaczej dostać chleba jak tylko mieniając go w prost za swoje buty. Powiedzieliśmy dalej, że zamiana została uproszczoną przez wprowadzenie zamiany pośredniej za pomocą pieniędzy. Dzisiaj pomówimy szerzej o naturze i własnościach pieniędzy.

Pierwotnie w różnych krajach różnych rzeczy używano dla ułatwienia zamiany n. p. skór małych a drogich, kunich sobolich i t. d. Doświadczenie atoli pokazało, że najstosowniejszym ku temu celowi jest używanie drogich metalów, a to dla ich różnych własności. Najprzód złoto i srebro nie rdzewieje i nie psuje się, ma ładny kolor, zatem pod każdym względem jest kruszcem poszukiwanym. Nadto jest go stosunkowo bardzo mało, zatem jest ono drogie, a wreszcie łatwo podzielne, przeto mały kawałek znacznej już jest ceny, zatem przechowanie i przewiezienie wielkich wartości żadnych nie przedstawia trudności. Z początku ważono złoto i srebro, ale to pokazało się niedogodnem, zawsze trzeba było ważki wozić z sobą, a ważki kupca i sprzedawcy częstokroć się z sobą nie zgadzały, więc ztąd częsty swar i niedogoda. Dla tego państwo, którego obowiązkiem czuwać nad porządkiem w narodzie, cowięcej ułatwiać ruch produkcyjny i przemysłowy, musiało zająć się tą sprawą. Z tąd zaczęto wybijać pieniądze, tak że kazano n. p. kolońską grzywnę srebra podzielić na 60 kawałków; przez stopienie nadano każdemu jednakową formę i opatrzono stemplem, ażeby każdy człowiek widząc przed sobą taki kawałek srebra był pewny, że ma przed sobą jedną sześćdziesiątą część grzywny kolońskiej. Tak powstały dawne dwudziestówki zwane u nas z niemiecka cwancygierami. Tak samo rzecz się ma z złotem przebijanem na dukaty lub luisdory. Państwo gwarantuje, że tak się ma rzeczywiście jak ogłasza; jeżeli zaś się pokaże że w mennicy gdzie biją pieniądze, zaszło jakie fałszerstwo (dawnemi czasy szczególnie często to próbowano), to jest, że z pewnej ilości kruszcu n. p. z grzywny srebra wybito więcej dwudziestówek, niż 60. n. p. 65 a kazano by wierzyć, że każda dwudziestówka jest jedną sześćdziesiątą częścią grzywny, to wtedy, skoro się o tem ludzie dowiedzą, pieniądze natychmiast potanieją, czyli cena wszystkich wyrobów się podniesie, a zwłaszcza zagranicznych. Różnica ta okaże się najjaśniej przy zamianie na zagraniczne pieniądze. Przy porównaniu bowiem pieniędzy dwóch krajów, potrzeba wziąść na uwagę sposób, w jaki powstały. N. p. z jednej grzywny srebra wybija się tylko 13. talarów, zatem chcąc zmieniać dwudziestówkę na talary, musimy dać trzynastą część grzywny w dwudziestówkach, czyli około 4½ dwudziestówek. Skoro zaś się pokaże, że dwudziestówka jest mniejszą niż jedna sześćdziesiąta część grzywny, trzeba będzie tak zwiększyć owe 4½ dwudziestówek, aby stanowiły jedną trzynastą część grzywny, n. p. zamiast 4½ dać 5 dwudziestówek. Tak więc zwiększenie ilości pieniędzy sprowadzone w ten sposób, że wartość ich się zmniejsza, żadnych korzyści nie przynosi, z drugiej strony sprowadza ono nienaturalną niestałość cen, co znów szkodzi handlowi, a pośrednio całej produkcyi.

Złoto i srebro jakkolwiek bardzo podzielne nie jest zdolne rozdzielenia na zbyt małe wartości, n. p. jak małą

musiała by być ilość srebra wystawiająca wartość jednego centa? Z drugiej strony nadzwyczajna byłaby niedogoda, gdyby nie było pieniędzy tak zwanych drobnych. Potrzebuję kupić na wieczerzę bochenek chleba, za 5 centów, a tu nie mam tylko same złote reńskie. Dwudziestu bochenków nie potrzebuję a jednego nie mogę dostać. Dla tego państwo każe wybijać pewną ilość małych pieniędzy miedzianych tak zwaną monetę drobną. Każdy wie, że garść miedzi składającej 100 centów nie jest wartą tego śrebra, jakie się znajduje w jednym złotym reńskim, ale każdy wie, że dla ogólnej użyteczności nie wielką ilość miedziaków łatwo zużyje. Nikt atoli zbierając pieniądze nie będzie je trzymał w miedzi, ale się postara o pieniądze złote i srebrne. Złoto bowiem i srebro ma zawsze swoję wartość, miedziak zaś tylko taką, jaką mu państwo przyznaje i jak długo mu ją przyznaje. Tak n. p. cent miedziany jest obecnie setną częścią złotego reńskiego. Gdyby państwo odjęło swej powagi obydwu pieniądzom, toby złoty reński wart był zawsze tyle, ile w sobie zawiera srebra, zaś i 10. centów jako miedź uważane setnej części złotego reńskiego nie warta.

Obok tych dwóch rodzai pieniędzy znamy jeszcze p i e n i ą d z e p a p i e r o w e czyli tak zwane b a n k n o t y. Jest to rzecz w cale nowa, gdyż przed sto laty nie wiele jeszcze jej znano. Tak jak człowiekowi nie zawsze składnie płacić gotówką i częstokroć choć jest zamożnym, woli dać kwit lub kartę dłużną, którą potem wypłaca. Tak samo i państwo częstokroć zatrzymuje złoto lub srebro w swem skarbie, a na tomiast puszcza w obieg papiery, każdy taki papier równą przedstawia wartość, jak pewna w kraju używana moneta złota lub srebrna. P i e n i ą d z p a p i e r o w y z a t e m c z y l i b a n k n o t j e s t w ł a ś c i w i e k a r t ą d ł u ż n ą s k a r b u p a ń s t w a, i każdy posiadacz banknotu ma prawo każdej chwili zażądać od kasy państwowej, aby mu ten banknot, czyli jakeśmy to już powiedzieli kartę dłużną, na odpowiednią monetę srebrną lub złotą wymieniała. Dopóki powszechnie jest wiadomo, że skarb państwa wymianę taką uskutecznia bez trudności, wszystko mi jest jedno, czy mam w ręku banknot, czy monetę złotą, owszem częstokroć banknot jest wygodniejszym n. p. 10 banknotów wystawiających każdy wartość tysiąca złr. bardzo wygodnie mogę nosić przy sobie, podczas kiedy ta sama wartość w najlekszym stosunkowo kruszcu, bo w złocie, zajmywałaby około dwóch kwart objętości a około 20 funtów wagi. W srebrze zaś trzeba by osobną wieść szkatułę, co jest oczewiście bardzo niedogodnem. I to właśnie przyczyniło się do rozszerzenia używania banknotów. Dzieje się atoli czasami, że rząd jakiego państwa znajduje się w nagłej chwilowej potrzebie pieniędzy, a niemając złota lub srebra, albo też mając go nie wiele, puszcza w obieg więcej papierów, aniżeli jego skarb każdej chwili na złoto lub srebro wymieniać może. Rzecz taka prędko się rozejdzie po świecie, dzieje się wtedy tak, jak i z ludźmi prywatnemi. Jeżeli mam kartę dłużną, czyli skrypt człowieka zamożnego, to czekam, by mi go wypłacił, i mam go sobie za tę wartość, jaka na nim jest wyrażoną; jeżeli zaś mam skrypt człowieka, który goni resztkami, długów swoich nie płaci, to chętnie odstąpię ów skrypt za połowę, a czasem i niżej jeszcze, woląc mieć mniej pieniędzy a pewnych, niż więcej się spodziewać, a być narażonym na stratę. Słowo w słowo to samo dzieje się i z banknotami. Skoro skarb zawiesza wymianę ich na srebro i one przedstawiają znak nierzeczywistej wartości, ale jakiejś urojonej, to wtedy chętnie dopłacę coś, aby zamiast papieru mieć monetę kruszcową. Z drugiej strony kto ma złoto lub srebro niechętnie mienia je na papier, jako rzecz na ten czas nie pewną, a jeżeli robi to, to każe sobie za to coś dopłacić. Kiedy nastanie taka różnica między wartością różnych rodzajów pieniędzy, cenę każdego rodzaju nazywamy k u r s e m, n. p. Kurs złota, kurs papierów i t. d. Kurs taki bywa czasami bardzo różny; bywały czasy kiedy za 1 złr. srebrem, płacono $1^1/_2$ złr. papierami. Różnicę między kursem jednego rodzaju pieniędzy a drugiego nazywamy m i e n n e albo z włoskiego a g i o (czytaj a d ż i o). I to agio właśnie sprawia, że posełając pieniądze zagranicę, gdzie banknoty tutejsze nie są poszukiwane, musimy płacić więcej, niż ci, którzy wprost przychodzą z monetą srebrną. Kraj wiele na tem cierpi. Wyobraźmy sobie na przykład stosunek następujący: Kupiec z Holandyi potrzebuje naszych skór, mienia swe srebro na banknoty tutejsze, na czem zyskuje wielkie agio, przyjeżdża do nas i kupuje po cenie targowej skóry za owe banknoty; my potem posełamy te banknoty do Holandyi, aby tam nakupić n. p. korzeni i towarów indyjskich, ale kupując musimy płacić agio i tracimy na tem. — Jednakże nie tylko zbytnia ilość wybita banknotów sprowadza spadek ich kursu, ale jak kiedy dłużnika majątek, choć duży, zawikłany jest w procesa i jest obawa, że lada dzień dłużnik może być pozbawionym wszystkich dochodów, a przez to samo postawionym w niemożności uiszczenia się z swych długów, wtedy kredyt jego się chwieje, a każdy wierzyciel chętnie za lada co sprzedaje skrypt jego, tak samo kiedy rząd jaki zawikłany jest w niebezpieczne wojny, domowe rewolucye, żyje z poddanymi sobie ludami w roztercе, w kraju panuje niezadowolenie, wtedy spadek papierów rządowych jest niechybnym i nie raz już grożąca ruina finansowa zmusiła rządy do ustępstw na korzyść ludów.

Tak rozpoznaliśmy naturę pieniędzy uważanych odrębnie od reszty rzeczy użytecznych, a pracą ludzką wytwarzanych. Przypatrzmy się teraz ich stosunkowi do tych innych wyrobów.

Przedewszystkiem zapamiętać dobrze musimy, że do własności jakiejś rzeczy mogę przyjść w dwojaki sposób: albo przez własną pracę, albo przez dostanie rzeczy wytworzonej pracą obcą, to znowu stać się może trojako: albo przez zamianę, albo przez dar, albo przez nieprawę nabycia jak kradzież, rozbój, oszustwo i t. d.; oczewiście, że te ostatnie nabycia nie mogą wchodzić w zakres uczciwej pracy i uwag naszych nad nią. Dar jest rzeczą przypadkową, zdarzy się to ledwie setnemu, a człowiek uczciwy nie na przypadki, ale na własną pracę oglądać się winien. Gdy wreszcie zamianę uskuteczniamy, dając wyrób naszej pracy, za wyrób pracy drugiego człowieka; zatem uznać musimy, że podstawą naszej własności jest nasza praca. Toż przypatrzmy się, w jaki sposób przychodzimy do pieniędzy. Krawiec narobiwszy więcej ubiorów a niżeli sam spotrzebować może, sprzedaje resztę. Za to dostaje pieniądze, część ich używa na życie i inne potrzeby swej rodziny, na zapłatę pomocników, na dobre prowadzenie pracowni i t. d., reszta, która mu się po opędzeniu tych kosztów zostanie, stanowi jego zysk, co jest ten zysk? oto ta

część sporządzonych przez niego ubiorów, które nie potrzebował koniecznie mieniać na inne rzeczy, ale opędziwszy częścią ubiorów swe potrzeby wyżej wykazane, mógł był tę drugą część zachować u siebie. Te ubiory zachowane byłyby zasobem czyli zaoszczędzonemi wyrobami. Zatem uzyskane za nie pieniądze przedstawiają tę samę wartość, jaką miały owe ubiory, czyli przedstawiają zaoszczędzoną wartość pracy krawca. Tej wartości zatem może on użyć na ulepszenie swych wyrobów, a pośrednio zwiększenie dochodów, może jej użyć na swą przyjemność, i tego wszystkiego nikt mu za złe nie bierze; toż może on także schować te pieniędzy, albo co lepiej ulokować tak, aby mu uczciwy procent niosąc zwiększały jego kapitał. Zatem kto szanuje pracę — a komuż to bardziej przystoi jak rękodzielnikom — powinien uszanować własność, a to nietylko wtedy, gdy bezpośrednio z pod ręki pracującej wychodzi, ale i wtedy, gdy wartość zapracowana wskutek zamiany inne przybierze kształty. Czamarka n. p. nie jest wyrobem moich rąk, gdyż ja jestem dajmy na to stolarzem. Lecz kiedy ja mam tę czamarkę, to znak, żem musiał sporządzić moją pracę, jakiś wyrób mojego fachu n. p. stołki, za ten wyrób dano mi przy sprzedaży pieniądze, a za pieniądze te kupiłem czamarkę, w której chodzę. Zatem owa czamarka jest moją, gdyż przedstawia wartość mojej pracy użytej przy wyrobie owych stołków. Tak samo rzecz się ma z pieniądzmi, nikt z nas ich nie robił, a kto je ma, musiał w drodze sprzedaży zamieniać je za jakiś wyrób swej pracy, a pamiętajmy, że wyrobem pracy jest tak dobrze wyciosany stołek, jak napisany wyrok przez urzędnika, lub artykuł przez literata. Za tem gdziekolwiek widzimy pieniędzy, wiemy, że się one same z siebie tam nie wzięły, ale że przedstawiają tylko wartość wyrobów pracy, jakie za nie sprzedano.

Stowarzyszenia
na podstawie ust. prz. (zjednoczenia) a towarzystwa zaliczkowe.

Ustawa przemysłowa z dnia 20. grudnia 1859 zniosła dotychczasowy przymus cechowy i zaprowadziła choć częściową wolność zarobkowania. Że wolność zarobkowania nie jest zupełna, przekonuje nas o tem §. 106. który brzmi:

Należy utrzymać wspólny związek, jeśli takowy istnieje między tymi, którzy toż samo lub podobne rzemiosło prowadzą w jednej i tej samej gminie, albo w kilku gminach sąsiednich, gdyby zaś takiego związku nie było, utworzyć go jeśli tylko można. Zjednoczenie takie może stosownie do okoliczności łączyć w sobie również rękodzielników kilku gmin i rozmaite obejmować rzemiosła.

Żąda więc ustawa przemysłowa zastąpienia dawnych cechów tak zwanemi zjednoczeniami czyli zgromadzeniami. Na podstawie tego §. nakazało lwowskie namiestnictwo wszystkim dawnym korporacyom cechowym urządzenie takich zjednoczeń. Że jednak znieść coś i uchylić zawsze jest łatwiej, niżli zaprowadzić, to też stało się, że po ostatecznym rozwiązaniu dawnych cechów dużo upłynęło czasu zanim przeprowadzono takie zjednoczenia. I tak we Lwowie dopiero z końcem roku 1865 zaczęły się na podstawie powyższego §. ustawy przemysłowej zawiązywać podobne stowarzyszenia n. p. Stowarzyszenie lwowskiego cechu stolarskiego, którego statuta zostały na dniu 15. listopada 1865 potwierdzone. W miastach prowincyonalnych zaś po największej części do dziś dnia nie ma tych zjednoczeń, na przykład przytaczamy tu tylko miasto Przemyśl, gdzie dopiero w roku bieżącym na ciągłe nalegania namiestnictwa zaprowadzonem zostanie stowarzyszenie wszystkich przemyskich rzemieślników pod nazwą Zjednoczenie.

Zgromadzenia te czyli zjednoczenia, które namiestnictwo za pomocą rad gminnych stara się w miastach prowincyonalnych wprowadzić w życie, zdają się niektórym rzemieślnikom zupełnie dostateczne, i tem samem opóźniają powstanie towarzystw zaliczkowych, które jedynie, zdaniem naszem, mogą podnieść z dzisiejszego upadku stan rzemieślniczy. — Przypatrzmy się bliżej celom z tych zjednoczeń czy zgromadzeń. Cele te wyrażone są w §. 114 który brzmi:

Celem zjednoczeń jest wspieranie tych zakładów i urządzeń, które stanowią warunki dla wspólnych rękodzielniczych interesów. Mianowicie do nich należy:

1). Staranie się o utrzymanie uregulowanych stosunków między członkami zjednoczenia i ich czeladzią i uczniami (§. 113) osobliwie pod względem ich stosunku służbowego.

2). Godzenie dotyczących sporów (102).

3). Zakładanie i wspieranie szkół fachowych i dozór nad niemi.

4). Zakładanie instytutów wsparcia dla członków czeladzi i uczniów zjednoczenia w przypadku choroby lub jakiego nieszczęścia, tudzież dozór nad temi zakładami.

5). Składanie żądanych wyjaśnień i opinii w sprawach własnego zakresu przed zwierzchność lub izbą handlowo-przemysłową ich okręgu.

6). Nakoniec, udział we wszystkich postanowieniach administracyi publicznej, które się tyczą ogółu członków zjednoczenia.

Oto są cele, które zjednoczenia zaprowadzone na miejsce dawnych cechów mają urzeczywistnić; Cele może bardzo piękne, ale jak na dziś nie wykonalne, bo rzemieślnik walczący z nędzą, nie będzie myślał o zakładaniu szkół i instytutów wsparcia dla czeladzi. Innych celów zjednoczenia te mieć nie mogą, ustawa przemysłowa nic bowiem o nich nie wspomina.

Całkiem inne są cele Towarzystw zaliczkowych. Towarzystwo zaliczkowe jest bankiem, a zadaniem jego wypożyczanie członkom swym potrzebnego im kapitału obrotowego za jak najniższy procent. W numerze drugim i trzecim pisma naszego mówiliśmy obszerniej o towarzystwach zaliczkowych i potrzebie zaprowadzenia takowych, tu zaś to tylko jeszcze powtórzymy, że jedynie stowarzyszenia zaliczkowe są wstanie wyrwać rzemieślników naszych z rąk lichwiarzy, prywrócić dawniejszy dobrobyt i tem samem przyczynić się wiele do podniesienia naszego przemysłu. — Jestto prawda, którą nie zawadzi powtarzać jak najczęściej. Zdaje nam się

że potem cośmy powyżej powiedzieli każdy przyzna, że zjednoczenie a towarzystwo zaliczkowe inne mają cele.

Zjednoczenia wszędzie w każdym mieście gdzie dawniej były cechy, muszą być zaprowadzone, bo tego wymaga ustawa przemysłowa. Zakładanie Towarzystw zaliczkowych nie jest przymusowe, zależy ono od dobrej woli naszych rzemieślników mimo to towarzystwa zaliczkowe niezawodnie daleko są potrzebniejsze niżli owe zjednoczenia.

Do stowarzyszeń czyli zjednoczeń zawiązanych na podstawie §. 106 ustawy przemysłowej, mogą należyć tylko rzemieślnicy, przeciwnie do towarzystwa zaliczkowego może należyć każdy bez różnicy stanu, a więc rzemieślnik, kupiec, rolnik, właściciel domu, w ogóle każdy, kogo wydział towarzystwa zaliczkowego na członka przyjmie. Dzieje się to dla tego, ponieważ im większa liczba członków jest w towarzystwie, tem większemi obraca ono funduszami, tem łatwiej każdy, który potrzebuje otrzymać może pożyczkę.

W wielkich miastach można się ograniczyć na samych rzemieślników, przeciwnie w mniejszych trzeba koniecznie do towarzystw zaliczkowych przypuszczać i inne klasy społeczeństwa, by się zebrała dostateczna liczba członków. Tak jest w Brzeżanach w Oleszycach i w zawiązującym się obecnie towarzystwie w Cieszanowie, oprócz rzemieślników należą jeszcze rolnicy i kupcy.

Wykazaliśmy cele tak zwanych zjednoczeń i towarzystw zaliczkowych, dalej zaś dwie najważniejsze różnice jakie między niemi zachodzą; Na tem kończymy, wzywając raz jeszcze rzemieślników w prowincyonalnych miastach, dla tych bowiem towarzystwa te są najpotrzebniejsze, do zakładania towarzystw zaliczkowych, które wyłącznie mogą tej licznej klasie ludności dać to stanowisko, jakie już sobie wywalczyła na zachodzie.

Duch niezgody.

(Ciąg dalszy.)

Zdala, gdzieś nito od stawku doleciał go głos rozmowy. Słów rozumieć nie mógł, z oddalenia zdawało mu się tylko, że jeden z tych głosów rozmawiających jakby mu dobrze był znany. Wytężył wzrok, lecz nie mógł ujrzeć nikogo, cień drzew przeszkadzał mu. W końcu usłyszał głośno „Do widzenia“, na które nastąpiło „dobra noc“ i chwilkę znów cisza. W tem jakby po nad samym stawkiem zamajaczyła postać jakaś, raptem coś trzasło, runęło z łomotem, krzyk się rozległ i słychać było jakby coś ciężkiego wpadło w wodę.—

Na ten hałas i krzyk poleciał pędem nasz młodzieniec. W momencie stanął na miejscu, i oto co mu się przedstawiło. —

W pośrodku stawku była kępa mała, rodzaj wysepki do koła oblanej wodą. Drzew kilka było na tej wysepce, między niemi ławeczka, jednym słowem było to najmilsze miejsce schronienia w dzień, w czasie upału, lub też do poufnej pogadanki. Z jednej strony wysepka ta połączona była z brzegiem wązkim i wątłym mostkiem. Otóż rozmawiający, widno unikając świadków, tam się byli schronili, a teraz jeden z nich, wracając przez kładkę, miał ten wypadek, że mostek pod nim się załamał, a on wraz z załamanym mostkiem runął w wodę. Woda w tem miejscu dosyć była głęboka — upadający chwycił się jednego belka mostku, lecz czuł, że ta obrona zbyt jest słabą, że belek za mały, by go mógł unieść, i że z każdą chwilą z swego umocowania przy brzegu coraz bardziej się usuwa. Towarzysz jego wyjrzał z pomiędzy drzew kępy i chciał mu spieszyć na ratunek, lecz ujrzawszy naszego młodzieńca, cofnął się i ukrył jeszcze bardziej między drzewami. Tu nie było chwili namysłu — zanurzony w wodzie pasował się, starał pochwycić drugi belek, lecz ten się wyrwał, a on coraz bardziej się w wodzie zanurzał. Młodzieniec nienamyślając się, skoczył w wodę, podpłynął, pochwycił tonącego — nastała chwilka pasowania się... tonący oburącz go ujął w przestrachu, i ścisnąwszy dłońmi, jakby żelaznemi kleszczami wszelką możliwość poruszania się mu odjął. Chwila ta była straszna dla obu.... zanurzyli się obydwa i znikli pod wodą — na chwilę wypłynęli, by znowu po raz drugi się zanurzyć.

Postać na kępie pozostała, wychyliła się z pomiędzy drzew, słychać było westchnienie jej, — lecz nie pospieszyła z ratunkiem. Wreszcie udało się młodzieńcowi po długich strasznych szamotaniach wyrwać się z tych objęć — i już ostrożniejszy pochwycił za kraj sukni tonącego i po kilku poruszeniach wypłynął z nim na brzeg.

Tu dopiero mógł się wyratowanemu przypatrzyć.

Był to człowiek stary. Suknia na nim uboga, jeśli jeszcze suknią nazwać można ten płaszcz wiszący w łachmanach, po których teraz woda spływała, zarówno jak i z długich siwych włosów spadających w bezładzie z odkrytej głowy. W twarzy jego malowała się nędza, bieda, — widno było długie pasmo lat przeżytych w niedostatku; dawny może szlachetniejszy, lepszy wyraz tej twarzy zaginął gdzieś pod temi zmarszczkami, pod tem znędznieniem. Oko tylko błyszczy jeszcze świetnie, i wpatruje się w tej chwili melancholicznie, smutno w swego wybawcę.

— „Dziękuję panu, żeś mię wyratował, rzekł do młodzieńca, i ścisnął jego rękę — „chociaż,“ dodał, — po przypatrzeniu się pomyślisz pan może, że nie było się dla kogo fatygować....,

— „Jakto, odrzekł młodzieniec zdziwiony, — jakto nie było dla kogo? pan jesteś człowiekiem, jak inni, — jesteś mym bliźnim, — przez to samo, obowiązkiem to moim było.

— Ha, ha, rozśmiał się dziwnie starzec, — ja bliźnim, ja człowiekiem — nędzarzem jestem, żebrakiem, — o którego nikt nie stoi, nikt nie wie o nim, który gdy zginie to światu ulgę zrobi, bo mniej jednego — bo ciężarem nie będzie więcej.... Pan jesteś młody, to i lepszyś trochę, i inaczej trochę sądzisz — poczekaj, za lat kilka, i ty tak będziesz czynił i myślał jak inni — jak wszyscy. Wiesz pan, chodź ze mną, pan mię może nie rozumiesz, — ja ci to wytłumaczę..... ja od tylu lat z nikiem nie mówiłem — z panem ja chcę mówić, pan mię wyratowałeś, nie wiedząc kogo ratujesz, ja pana zarówno nie znam, i nie chcę wiedzieć kto pan, choć może... lecz nie — otóż nie dość, że mię pan wyratowałeś, nie dość mówię, oto pan mię nazwałeś bliźnim, nazwałeś mię człowiekiem. o dzięki ci za to, dzięki stokrotne... jam myślał, że już nikt........ nikt mię tak nie nazwie...... z rezygnacyą tonąłem,.... jak mówiłem byłoby jednego nędzarza mniej na świecie — ale teraz.... teraz, jestem człowiekiem.... ja już nie nędzarz, nie odrzutek, mam bliźnich, mogę

być użytecznym jeszcze na coś..... mnie Bóg skończyć nie dał, wyratował mnie przez ciebie panie, i tak wielką mi łaskę uczynił,... o dzięki ci.... Lecz chodźmy z tąd — chodźmy, ja z panem mówić chcę, tylko nie tu, chodźmy dalej...

— „Zaraz panie, lecz zdaje mi się, że tam kogoś zostawiamy na kępie, zdawało mi się, żem słyszał dwa głosy na kępie przedtem nim się pan załamałeś. Trzeba może czółnem podjechać, bo jakże tamta osoba się na brzeg dostanie....

— „Tam nie ma nikogo, sam ja sam byłem, i do siebie mówiłem głośno — to się panu tylko zdawało, tam nikogo nie ma.

— „Ale wyraźnie dwa głosy słyszałem. —

— „Ot zdawało się panu, nic więcej — mówię, że sam jeden byłem na kępie i do siebie mówiłem. Chodźmy; chodźmy.

— I pociągnął za rękaw młodzieńca za sobą, ktory jakoś z niedowierzaniem głową pokiwał. — Lecz pomyślał sobie w końcu, może ma jaką ważną przyczynę, że niechce tamtego zdradzić, zresztą tamtemu nic się nie stanie; za parę godzin, gdy zaświta, to ktokolwiek z przechodzących zobaczywszy go, podpłynie czółnem i na brzeg go wysadzi. A może i w samej rzeczy się myliłem, może tam nie ma nikogo. Tak pomyślał młodzieniec i poszedł za starcem.

Puścili się gościńcem ku miastu, starzec począł rozpowiadać przystając często.

— „Otóż mówiłem, że mię pan nie rozumiesz.... muszę się teraz wytłumaczyć panu. Ludzie nie są tak źli, — nie, bynajmniej nie. Wszak patrz pan, ja żyję z łaski ludzi, — widzisz pan ja jestem dziś żebrakiem. Nie ludzie, nie są źli— opatrzą kawałkiem chleba, groszem, — i na tem się skończy. Są miłosierni, nie dadzą zginąć z głodu..... ale też dawszy grosz ubogiemu, odwraca się każdy. Widzisz pan, pan pierwszy nazwałeś mię człowiekiem, uznałeś tę godność ludzką we mnie, pan nazwałeś mię bliźnim, to tak, jakby bratem swym — pan wlałeś mi nadzieję, dałeś słowo pociechy — dałeś jakby serca kawałek. A to dużo, dużo bardzo, to więcej jak jałmużna królewska rozrzutnie szafowana. Twe słowa były balsamem dla mnie. Widzisz pan, ja żebrak znam bardzo wiele innych żebraków...... są między nimi ludzie od urodzenia lub od przypadku ułomni, ciemni, kalecy.... są starcy niedołężni, są próżniaki, opoje, niechcące robić, choćby mogli, — są wreszcie nieszczęśliwi?.... czy wiesz pan jacy to nieszczęśliwi?.... to są ludzie, którzy raz czasem tylko zapomnieli swej ludzkiej godności... czasem raz tylko, a już więcej oczu na świat nie śmieli podnieść, i świat ich odepchnął, i odtąd oni wyrzutkami społeczeństwa. Pan młody jesteś, zobaczysz w świecie oszustów w powodzeniu, w dostatkach ludzi złych i przewrotnych — a czasem przecież los zawistny za jedno, jedno tylko przekroczenie rzuca człowieka w przepaść... i odtąd świat nim gardzi i pomiata..... i nikt słowa dlań nie ma, nikt serca, nikt czucia. Czasem takim nieszczęśliwym dość by było jednego słowa, jednego podania ręki, a oni by się dźwignęli i na nowo inaczej żyć poczęli.... lecz tego nie ma dla nich, darmo, usychają z utęsknienia. Pan dziś masz oto przed sobą podobnego nieszczęśliwego.... od tej chwili człowieka, bo tak mię nazwałeś, i starać się będę być na powrót człowiekiem.

— „Mój panie, przerwał młodzieniec, wybacz mi, że cię zapytam, z twej mowy widzę, że nie zawsze byłeś żebrakiem, pozwólże, jakiem wypadkiem to się stało.....

— „To długa, straszna historya. niechętnie myślę sam o tem, nawet nie mogę ci wszystkiego powiedzieć; osoby należące do historyi mego życia jeszcze żyją, przez wzgląd na nich tego czynić nie mogę. Niech żyją w spokoju. Ot co ci powiem w krótkości: Nazywam się Andrzej. Rodzice moi byli, i nawet są zamożni. Wyda ci się dziwnem, że do nich się nie udaję. nie, ja nie śmiałbym stanąć z tem czołem w tych łachmanach w ich progu, i spokój świętej ich starości zakłócić. Oni sądzą, żem umarł i dawno mię opłakali. Co roku w mej włóczędze zakradam się do wsi rodzinnej i widzę ukradkiem z daleka tego ojca staruszeczka, i tę matkę ukochaną, — oboje zgarbieni, jak para gołąbków, tak bialusieńcy.... oni nawet nie domyślają się, że syn ich żyje, że patrzy na nich, oni za mnie modlą się.... o wtedy serce mi pęka, patrząc na tę ich starość samotną, i uciekam z tych miejsc świętych.... i znowu włoczęgą spływa mi życie.... aż znowu po roku zatęsknię za ich widokiem....

Tu przerwał opowiadanie Andrzej, i mokrym rękawem płaszcza starł łzę, co mu gwałtem się do ócz cisnęła. Podumał chwilkę i dalej począł mówić:

— „Więc jak mówiłem rodzice moi byli zamożni. Ojciec posiadał ładne grunta pod Krakowem, przy rządności co raz więcej dokupywał, i z czasem stał się najzamożniejszym we wsi i na okolicę gospodarzem. Panowie nieraz po radę, a czasem nawet i po pożyczkę się udawali. Otóż był w stanie dać mi wychowanie. I dał mi je w samej rzeczy. Niczego mi nie skąpił — to też i uczyłem się. W Krakowie, dokąd mię ojciec zawiózł, byłem między najpierwszymi w szkole. Chciał ojciec, abym się na księdza kształcił, ale mnie inne się otwarły widoki...., Poszedłem do szkół wyższych, zaniechałem myśl zostania księdzem, czemu i ojciec się w końcu nie przeciwił. Niestety, możeby było lepiej dla mnie, żebym był poszedł za wolą ojca — byłbym może znalazł spokój — byłbym nie poznał..... i nie stracił..... Słuchaj młody człowiecze, czy ty kochałeś kiedy?..... czy kochałeś nieszczęśliwie?..... Nie odpowiadasz mi, ha nie wiesz, nie rozumiesz. Widzisz..... ciągnął dalej Andrzej zmienionym głosem — „widzisz jam kochał, jam zgrzeszył — jam srodze przewinił i to moje nieszczęście..... O! strzeż się! tyś młody, niech nigdy twe serce nie ulegnie pokusie, podszeptom zemsty; jam raz zgrzeszył — i odtąd czoło schyliłem i oka podnieść nie śmiałem na piękny świat Boży — i odtąd stroniłem od ludzi, bom myślał, że każdy na mem czole widzi i czyta piętno hańby. Porzuciłem wszystko, — wpadłem w rozpacz — z rozpaczy w szał, w pijaństwo, — wreszcie w biedę, w nędzę, w ostatnie upokorzenie. I dzisiaj ja, który mógłem stać na stanowisku, i rzetelną pracą ludziom się przysłużać, dziś ja żebrak nikczemny..... moja to wina — ciężka, okropna..... bądź pan zdrów..... więcej ci nic nie powiem. Dzięki panu raz jeszcze — dzięki serdeczne..... Bóg cię prowadź.....“

I nagłym rzutem odbiegł od młodzieńca i rzucił się w małą boczną uliczkę, gdzie wśród panującej ciemności darmo go młodzieniec oczyma śledził. Wreszcie nie widząc już więcej tego zagadkowego żebraka, wolnym krokiem ruszył ku domowi. Żebrak, który w uliczce w cieniu się był ukrył, skoro tylko ujrzał, że młodzieniec ku miastu dąży, zwolna z daleka ukryty cieniem kamienic za nim podążył, w pół głośno do siebie niezrozumiałe mrucząc słowa. Przed jednym

domem zatrzymał się młodzieniec, Andrzej przystanął o kilkanaście kroków, skryty po za węgłem drugiej kamienicy. Młodzieniec zadzwonił, drzwi się otwarły, i wnet za wchodzącym zamknęły. Klucz skrzypnął i znów cisza zaległa ulicę. Wówczas Andrzej oglądnął się raz jeszcze, czy kogo nie ma i wysunął się z poza węgła. Stanął przed domem, w którego drzwiach młodzieniec zniknął; rozpatrywał, i już miał odejść niezadowolony, gdy w tej chwili księżyc wyjrzawszy z poza chmury oświecił całe domostwo. Nad drzwiami wisiało godło z napisem „Jan Złotnicki, majster ślusarski.“ — Ha, więc to on, to mię przeczucie i to dziwne podobieństwo nie omyliło, — szepnął Andrzej do siebie, — tak to on, z pewnością on, to jej syn.... mój Boże, po tylu latach — on mi dziś życie ratuje.... on, jej syn... i z cicha mrucząc odszedł, szeptając czy myśli własne czy też słowa modlitwy.

II.

Niespokojnie minęła reszta nocy dla Czesława, bo tak zwał się nasz młodzieniec. Pod tyloma wrażeniami zasnąć nie mógł — ciągle mu w myśli stawały to ta rozmowa z ojcem, to żebrak ów i jego opowiadanie dziwne. Nad ostatniem rozmyślał długo, ale w końcu wrócił do swoich marzeń, do myśli bliżej jego samego obchodzących. Stanowcze oświadczenie ojca zdziwiło go mocno. Wiedział już dawno, że ojciec niebardzo rad patrzył na stosunek jego miłośny, wiedział że ojciec z ojcem Maryi, jego ukochanej nigdy się nie schodził i widocznie go unikał, ale przyczyna tej niechęci i tego gniewu nie była mu wiadomą, i nigdy nie sądził, żeby ojciec tak dalece mógł być związkowi jego z Maryą przeciwnym. Sądził zawsze, że w końcu uprzedzenia ojca zwalczy, i że tenże ostatecznie na połączenie pozwoli. Dopiero ostatnia rozmowa, której koniec słyszeliśmy, okazała mu, że ojciec śmiertelnie zagniewany, i na małżeństwo z Maryą nigdy nie zezwoli. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć, bo nie znał powodów, które ojca skłaniały, i które tenże w jak największej krył tajemnicy. Ojciec Maryi lubiał go, był mu przychylny, lecz i on nie wiedział powodów gniewu Złotnickiego, lub też także może krył się. Bądź co bądź postanowił Czesław ojcu być posłusznym, i wyjechać na teraz, — lecz przed wszystkiem chciał się z Maryą zobaczyć po raz ostatni, chciał ją pożegnać i o swym odjeździe uwiadomić. Na tych rozważaniach minęła mu reszta nocy, i dzień go zastał bezsennym. Rano wyszedł na miasto, błądził długo przez różne ulice, a w końcu prawie mimowiednie zaszedł na jednę z bocznych uliczek. Stanął przed domkiem jednym i zamyślał się. Był to domek schludny, otoczony sztachetami, z poza których widno było krzaki róż kwitnących i tulipanów — wszystko pięknie utrzymane troskliwą ręką. Domek sam niewielki, ale miluchny, czyściutki, piękny wśród tych róż i drzew okalających go. Napis nad drzwiami na tablicy umieszczony i głośny stukot hyblów i młotków okazywał, że to pomieszkanie i pracownia stolarza. W samej rzeczy mieszkał tu pan Mikołaj Pankiewicz, zamożny majster stolarski.

Przez drzwi otwarte wejdźmy do środka. Na prawo pracownia pana Mikołaja, tutaj kilkanaście rąk raźnie i ochoczo pracuje; na twarzach widoczne zdrowie, wesołość i zadowolenie. Na lewo schludne mieszkanie samego p. Mikołaja. On sam stoi właśnie w pośrodku pokoju i coś żywo z żoną rozprawia. Barczysty to i silny mężczyzna, w sile wieku, — twarz rumiana, uśmiechnięta — widno, że praca i pochodzący z niej dostatek dają mu zdrowie, siłę i zadowolenie. Pani Katarzyna, małżonka jego, również rumiana, tylko tuszy jeszcze lepszej, poczciwa dobroduszna kobiecina.

— „No widzisz moja Kasiu, prawi pan Mikołaj, — tylko się znowu nie gniewaj na mnie, i posłuchaj cierpliwie — otóż nim mu się ten wypadek stał, nim się z tym nieszczęśliwym mostkiem załamał, — to ja mu mówiłem i przedstawiałem: ej Andrzeju, jużby czas był, — mówiłem mu sprowadź się do nas, wszak nas stać na to, pokoik ci damy, i żywność, — i starzejesz się, czas by spocząć, ot przy nas będzie ci lepiej......

— „Nie musiałeś mu tam bardzo nagadywać, kiedy cię nie usłuchał, — było go tu sprowadzić, ja bym go już namówiła. Człowieczysko się tuła, nie wiedzieć po co, kiedyby i nie potrzebował.

— „Ale, bo widzisz, namawiałem, prosiłem, a to wszystko na nic. Jak się zaciął, jak uparł, tak i postawił na swojem. Już to co roku tak samo. Wpadnie gdzieś po nocy, pogada i znowu ucieka. Powiedział że wszędzie prędzej, a tu u nas w miasteczku za nic w świecie by nie mieszkał i dnia nawet nie pozostał. Bogu dzięki, że nie utonął, ten poczciwy Czesław go wyratował. A musi być wielka jego tajemnica, kiedy tonąc już prawie, gdy spostrzegł, że ktoś mu na pomoc idzie, to szepnął do mnie: „na miłość Boga skryj się i nie pokazuj.“ No szczęściem ten go wyratował, bo jużem był w kłopocie.

— „Zkąd też mógł Czesław tak późno iść? —

— „Alboż ja wiem — nadszedł, wyratował go, — gadali chwilę, potem razem odeszli ku miastu. A ja miałem z łaski Andrzeja ten honor całą noc na kępie przekolendować, i żeby nie poczciwy Antek, co mię czółnem odwiózł, byłbym dotąd używał świeżego powietrza. Ale, rozgadałem się, tam roboty dużo, a ja tu gawędzę. Bądź mi Imość zdrowa. I odszedł do pracowni. (C. d. n.)

Przegląd Stowarzyszeń rękodzielniczych.

Z Wiednia donoszą: Dnia 11. kwietnia odbyło się pierwsze kwartalne zgromadzenie Stowarzyszenia rzemieślników polskich w Wiedniu. Z przemowy przewodniczącego p. Doroszyńskiego i z sprawozdania odczytanego przez sekretarza, okazało się, że Stowarzyszenie liczy obecnie członków 72 i że majątek Stowarzyszenia w minionym kwartale powiększył się o sto złr. Biblioteka Stowarzyszenia pomimo że liczy 142 tomów, nie zawiera jednak dostatecznej ilości książek prawdziwie pożytecznych i przeto nie jest w stanie zadośćuczynić słusznym wymaganiom członków. Stosownie do porządku dziennego zgromadzenie przystąpiło do uchwalenia wniosków tak przez Wydział jako też przez członków postawionych.

Przyjęto następujące wnioski:

1) Wniosek p. Klemensa Fedunia, ażeby Stowarzyszenie przyjęło nazwę „Siła.“

2) Ze względów na położone dla Stowarzyszenia zasługi przez panów: Teofila Bieńkowskiego i Dra Bernarda Gold-

mana, Stowarzyszenie mianuje ich członkami honorowemi na zasadzie § 5. statutów.

3) Wybrani zostali jako wydziałowi: prezes p. Doroszyński Michał, zastępca p. Nawrocki, sekretarz p. Waisleben Teodor, zastępca p. Zyszka, bibliotekarz p. Fedunio Klemens, zastępca p. Tymiński, skarbnik p. Kostka Julian, zastępca p. Dziedziński, radca p. Bienkowski Teofil.

Z Przemyśla donoszą nam, iż tam zawiązuje się obecnie Stowarzyszenie rzemieślnicze, do którego wszyscy tamtejsi rzemieślnicy mają przystąpić. Stowarzyszenie to nosić będzie nazwę „Zjednoczenie.„ Skoro tylko Stowarzyszenie to przyjdzie do skutku, mają zamiar niektórzy z tamtejszych rzemieślników zająć się utworzeniem Towarzystwa zaliczkowego, do którego należyćby mogli tak majstrowie jak i czeladnicy, jestto piękny przykład zgody i jedności.

Odkrycia i wynalazki.

Dla Garbarzy. Dotychczas używanym sposobem w garbarstwie odwłaszania czyli obnażania skór ze sierści, traci się wiele na zbitości i wadze skóry.

By zapobiedz temu, używają teraz nowego sposobu, układając skóry w szczelnie zamkniętym miejscu, i wprowadzając rurami w nie wodę, a następnie za pomocą bardzo pojedyńczego przyrządu w parę ją zamieniając. — Para wodna przenikając skóry rozmiększa je do tego stopnia, iż po 5 do 10 dniach sierść z łatwością da się oddzielić.

Obnażenie odbywa się daleko prędzej jak podług dawnej metody, unika się przytem niemiłego zapachu; dłuższe nawet działanie pary na skóry nie wywiera na nie szkodliwego wpływu, gdyż nie są wystawione na wielkie rozgrzanie. — Według niemieckiej gazety garbarskiej przy postępowaniu tym nowym sposobem oszczędza się 3 do 4 funt. na 60 funtowej skórze solonej, a chociaż tak przyrządzane skóry wymagają więcej garbniku, to zato wiele zyskują na trwałośsi i piękności.

Użycie kory rokicinowej w garbarstwie. Pismo czeskie *Obzor* podaje możliwość użycia kory rokocinowej zamiast dębowej w garbarstwie. Z korą tą postępuje się podobnie jak przy użyciu dębowej, lub jakiejkolwiek innej używanej w garbarniach. zaletą jest tejże kory, że po odwłoszeniu skóry za pomocą wapna, kora rokicinowa działa daleko silniej jak inny garbnik, tak iż przy dalszem przyprawianiu rzemienia, tak zwane kryszplowanie łatwiej i doskonalej się uskuteczni. Dobrze jest mięszać korę rokocinową przez połowę z inną, gdyż sama jest za ostrą, przez co się ją łagodzi, i skórę się otrzymuje mięsistą, co się wiele do dobroci tejże przyczynia.

Trwała i tania farba na drzewo. Jako farbę na łaty, pulki w cieplarniach, skrzynie inspektowe, sztachety, parkany, poleca Lucas inspektor ogrodów w Reutlingien bardzo praktyczny, tani i z wszelką łatwością dający się przyrządzić środek. W dobrem zamknięciu przechowywany cement świeży w najlepszym gatunku, rozciera się z mlekiem na kamieniu podobnie jak farba olejna, której to gęstość powinna ta farba otrzymać. Drzewo mające być pociągane tą farbą, nie powinno być heblowane, lecz tylko piłą rznięte. — Dwa lub trzy razy pociągnięte drzewo tą farbą zostaje zabezpieczone nietylko przeciw wpływom powietrza, ale i od ognia. — Przed pociągnięciem farbą należy jednak drzewo należycie wysuszyć.

Tak zwana wiedeńska masa piankowa. Patentowana masa piankowa W. Hohmanna składa się według doniesienia Stammsa w illustrowanym dzienniku z 100 części, 35 stopniowego szkła wodnego (Wasserglas), 60 części kwasu węglowego magnezyi, i 80 części sproszkowanych obrzynków pianki morskiej czyli białej, czystej glinki. Wszystkie te części składowe w najczystszym stanie, rozcierają się na żelaznej blasze lub mielą w młynku do najsubtelniejszej miałkości — poczem zmięszana ta masa przeciera się przez bardzo cienkie lub jedwabne sito, następnie roztworzona odpowiednio wodą, pozostawia się w tym stanie przez 10 mniej więcej minut, po upływie tego czasu wlewa się niezwłocznie w formy, z których ociekająca woda pozostawia przedmioty w formie zastygłe.

Klej nieprzepuszczający wody robi się według prof. Kleczyńskiego następującym sposobem: do zwyklej lub weneckiej terpentyny, dodaje się kwasu siarkowego angielskiego w stosunku 3% na ilość wziętej terpentyny, mięsza się jak najstaranniej, następnie miększy się ta masa przez 12 godzin w letniej wodzie która 10% wymulonej bieli cynkowej (Zinkweiss) w stosunku do ilości terpentyny użytej zawiera, poczem mięsza się ta masa należycie, i po wyjęciu z wody suszy. Tak otrzymany wytwór rozczynia się w ciepłym lnianym, do połowy swej pierwotnej objętości wygotowanym oleju w którym najprzód jednakowoż 20% kauczuku w surowym oleju terpentynowym namaczano; na te 20 części kauczuku trzeba około 80 oleju terpentynowego użyć.

Kronika miejscowa i zagraniczna.

Pobyt Dr. Karola Libelta w Krakowie. Ze Lwowa wyjechał nasz ukochany gość do Krakowa, a tam przyjmowano go z równym uniesieniem. Na dworcu kolei witała go młodzież akademicka i członkowie krakowskiego towarzystwa naukowego; jeszcze tego samego dnia miał Dr. Libelt pierwszy swój odczyt o astronomii. Na drugi dzień był drugi wykład o kapitale i pracy. Wykład ten nadzwyczaj był ciekawy. Prelegent dał najpierw definicyę kapitału i pracy, potem wykazał ich wzajemny do siebie stosunek i przyczyny, dla czego kapitał uciska pracę. Potem rozbierał różne teorye i sposoby, za pomocą których praca mogłaby się uwolnić od tego ucisku kapitału. Szanowny prelegent oświadczył się za teoryą własnej pomocy w stowarzyszeniach, którą dotychczas przedstawiał sławny niemiecki ekonomista Szulce Delitsch; przedstawiał wymownie wszystkie korzyści takzwanych Stowarzyszeń zaliczkowych czyli pożyczkowych, wykazał, że one tylko podnieść mogą nasz stan rękodzielniczy i zachęcał do ich zakładania. — Początkowo zamierzał Dr. Libelt mieć w Krakowie tylko dwa odczyty, uproszony jednak przez zawiązujące się właśnie towarzystwo wzajemnej pomocy Sybiraków, przedłużył o dzień swój pobyt w Krakowie, i raz jeszcze dał się słyszeć publiczności krakowskiej, przyznaczając cały dochód z ostatniego wykładu na korzyść powracających z Sybiru. Dwa pierwsze wykłady były na korzyść towarzystwa bratniej pomocy akademików krakowskich. Równie jak we Lwowie, tak też i w Krakowie odbyło się kilka uczt na cześć Dr. Libelta, jedną z nich urządziła resursa krakowska, drugą redakcya politycznego czasopisma *Kraj*.

W niedzielę d. 18. kwietnia b. r. odbył się w lokalnościach Stowarzyszenia „Gwiazdy“ wieczorek wokalno-instrumentalny, w którym przeważnie członkowie Stowarzyszenia

pod przewodnictwem swego nauczyciela spiewu, p. Bieńkowskiego udział brali: na szczególną wzmiankę zasługuje wyborne wygłoszenie, bez pomocy suflera, około 300 wierszy długiej poezyi K. Ujejskiego, przez członka Stowarzyszenia p. Kukawskiego. — W następną zaś niedzielę t. j. d. 25. t. m. dał tamże p. Kohn **przedstawienie magiczne**, między którego oddziałami wygłosił członek Stowarzyszenia, p. Kraśniewicz, humorystyczny wierszyk.

Przy tych zabawach, nie zaniedbuje młodzież Stowarzyszenia i nauk. Oprócz koniecznie potrzebnych rękodzielnikowi wiadomości, wykładanych kolejno prawie codzień, bywają i inne odczyty i tak d. 17. kwietnia odbył się odczyt p. M. Darowskiego z historyi ostatnich 100 lat, d. 25. t. m. zaś odczyt z historyi naturalnej przez p. Dr. Wajgla.

† W miesiącu kwietniu zeszło z tego świata dwu członków Stowarzyszenia „Gwiazdy" Kasper Gromadoski slusarz, i Mikołaj Kulczycki malarz. Bardzo licznie zebrani członkowie Stowarzyszenia, oddali ostatnią usługę nieboszczykom

W Żółkwi odbył się w niedzielę dnia 25. b. m. odczyt popularny o ekonomii społecznej. Prolegsent P. Tadeusz Romanowicz traktował swój przedmiot w sposób tak praktyczny, że wzbudził w słuchaczach najżywsze zajęcie. Jest nadzieja, że za dwa tygodnie będzie w Żółkwi nowy odczyt.

Burmistrz miasta Krakowa Dr. Ditel złożył w urzędzie magistratualnym 1.000 złr. jako fundusz pożyczkowy dla rzemieślników miasta Krakowa. Z funduszu tego będą zgłaszającym się rzemieślnikom rozdawane pożyczki za nadzwyczaj niskiemi odsetkami, bo tylko 3 od sta. Dr. Ditel składając powyższą sumę, wyraził życzenie, by przedewszystkiem uwzględniano młodych i niezamożnych majstrów, którzy niedawno otworzyli warstat, a już jako czeladnicy odznaczali się uczciwością i pilnością.

Niezwykła zręczność. Jeden z rękodzielników kowalskich na prowincyi zrobił prawdziwy majsterstück. Oto okuł on zwykłe kurze jajo; gdybyśmy tego na własne oczy nie widzieli, nigdy byśmy nie uwierzyli. Grubszy i cieńszy koniec okute żelazem misternie wyrabianym, w środku zaś do koła poprzybijane ćwiokami do cienkiej skurupki jajka maleńkie zgrabne wyrobione podkówki końskie, mimo tego jajo nie jest wcale nadwerężone, a nigdzie nie widać najmniejszego rysu ani pęknięcia. Praca ta świadczy o nadzwyczajnej zręczności tego, który ją wykonał. Jestto tylko nowy dowód, że nasi rękodzielnicy pod względem zręczności w niczem nie ustępują zagranicznym. Pracę tę wykończył p. Michał Michalski z Kołaczyc, i przyznaczył ją na wystawę przemysłową, która ma się odbyć we Lwowie.

Grzeczność australska. Australia nazwaną została krajem sprzeczności i słusznie otrzymała tę nazwę. Wszystko tam wygląda inaczej, niż w którejkolwiek innej części zamieszkałej ziemi. Łabędzie są tam czarne, drzewa nie dają żadnego cienia, krajowcy używają broni szczególniejszego kształtu i t. d. Ale niczem nie różnią się Austryalczycy tak dalece od zwyczajów innych ludów jak sposobem witania się. Gdyby ktoś u nas spotkawszy na ulicy znajomego pokazał mu język, uważanoby to za największe grubijaństwo. W Australii zaś jest to znakiem osobliwego poważania. Gdy się spotkają na ulicy dwaj znajomi, którzy cenią się wysoko, stają na przeciw siebie i wystawiają języki jak można najdalej. Kto wie jednak czy to powitanie nie jest szczersze niż nasze „upadam do nóg" — „Całuję stopy" i. t. d.

Przegląd polityczny.

Austrya i Węgry. Podkomitet i wydział konstytucyjny wiedeńskiej Rady państwa, ukończyli już rozprawy nad rezolucyą sejmu galicyjskiego i jak wszyscy z wyjątkiem naszych delegatów przewidywali i przepowiadali, odrzucili wszystkie żądania kraju, oprócz nic nieznaczącego ustępu o urządzeniu izb handlowych, które to urządzenie ma odtąd należeć do sejmu galicyjskiego. Mimo tego delegaci nasi ciągle siedzą w Wiedniu i wcale z tamtąd wyjeżdżać nie myślą. Wielkie zyski jakie ciągną z coraz to powstających banków i te, których się spodziewają z kolei, zatrzymują ich w Wiedniu, krzyki i wołania kraju, oburzenie opinii publicznej nic to nie pomaga. Posłowie nasi wiedzą, że pan minister niedałby koncesyi na banki, a Rada państwa koncesyi na koleje, gdyby się sprzeciwiali jego woli, to też siedzą pokornie w Wiedniu, kłaniają się nisko ministrom, napychają własne kieszenie, i nie troszczą się wcale o potrzeby kraju. Smutno to powiedzieć, ale stoletnie nieszczęścia jakie naród nasz prześladują nic nas nie poprawiły. Na 36 delegatów ledwie 16 jest takich, którzy nie należą do żadnych banków ani kolei, reszta ciśnie się wszędzie gdzie może coś zyskać, to też nie dziwota, że do delegacyi głos kraju trafić już nie może. Opowiadają sobie, że jeden z delegatów zapytany, czemu delegacya nie porzuci Radę państwa i nie wraca do kraju, odpowiedział „albož nam tam źle." Słowa te najlepiej malują naszych delegatów.

Ostatniemi czasy obradowano w Radzie państwa nad ustawą szkolną. Projekt tej ustawy przedłożony Izbie przez ministra oświaty Hasnera był tego rodzaju, że ubliżał słusznym prawom nie niemieckich narodowości, a nawet sprzeciwiał się istniejącej już, a dopiero przed półtora roku przez niemców uchwalonej konstytucyi. Kraj cały był przekonany, że posłowie nasi w Wiedniu oświadczą uroczyście, że się nie zgadzają z projektem szkolnym, który uszczupla i tak niewielkie prawa galicyjskiej rady szkolnej, i że opuszczą raz na zawsze Radę państwa, która gwałtem rada by z nas Niemców zrobić. Ale delegaci niezdobyli się na tyle odwagi, oświadczyli oni tylko przez posła Grocholskiego, że w rozprawach nad ustawą szkolną nie będą brać udział i zostali nadal w Wiedniu. Za przykładem Polaków, poszli tą samą drogą Słoweńcy i Tyrolczycy i wyszli z sali obrad w chwili, kiedy odrzucono wniosek Grocholskiego, by nad ustawą szkolną przejść do porządku dziennego. Kiedy Polacy, Słoweńcy i Tyrolczycy opuścili Radę państwa, zabrakło do powzięcia uchwały prawem przepisanej liczby posłów. Niemcy musieli dopiero posyłać na wszystkie strony, by stronników swych zwołać. Po półgodzinnej przerwie zaczęto dalej uchwalać ustawę szkolną i przyjęto ją całkiem podług projektu rządowego zaraz w drugiem i trzeciem czytaniu. W tych dniach mają przyjść na porządek dzienny Izby, koncesye kolejowe, z których delegaci nasi spodziewają się osiągnąć wielkie korzyści pieniężne dla siebie. Potem przyjdą dopiero rozprawy nad rezolucyą sejmu galicyjskiego, która z pewnością w całej osnowie odrzuconą zostanie.

Francya. Ciało prawodawcze w Paryżu uchwaliło 27 b. m. budżet nadzwyczajny i ustawę o emeryturze wysłużonych wojskowych, poczem prezes zamknął sesyę. Deputowani rozeszli się z okrzykiem „Niech żyje cesarz." — Agitacye wyborcze trwają ciągle, a nawet się wzmogły od chwili, kiedy cesarz dekretem naznaczył wybory na dzień 23. i 24. maja.

Belgia. Zmowy między robotnikami coraz bardziej się szerzą, całe kilkomilowe okolice zamieszkałe przez ludność robotniczą świątkują, a fabryki stoją pusto. Rząd belgijski podejrzywając, że zachęta do tych zmów pochodzi od międzynarodowego stowarzyszenia robotników, uwięził trzech członków komitetu tego stowarzyszenia w Brukseli. Po czyjej stronie jest słuszność, trudno się dowiedzieć, zwłaszcza, że belgijskie dzienniki służą przeważnie interesom kapitalistów i właścicieli fabryk, i dla tego ukrywają, albo przekręcają prawdziwy stan rzeczy. W okolice najbardziej wzburzone, wysłał rząd wojsko, aby siłą zmusić robotników do rozpoczęcia roboty, jestto środek, który tak długo będzie skutkował, jak długo wojsko się nie oddali, a co potem będzie?

☛ Szanownych Czytelników, którzy jeszcze przedpłatę nie ponowili, upraszamy o spieszne nadesłanie należytości.

☛ **Nr. 10. wyjdzie dnia 16. maja 1869.** ☚

Odpow. redaktor *Dr. Wł. Kociatkiewicz.* Z „Drukarni Ogólnej" A. J. Madfesa, pod zarządem L. Zubalewicza.